

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

20

((Ciąg dalszy)).

— Może być, że się z tem co robi — rzekła Maryna.

— Na każdy sposób niech nam pani raczy zezwolić, abyśmy cały dom obejrżeli dokładnie. Zaprosiłem współnika, bo on się zna na domach, lepiej niż ja.

Marynie było to bardzo nie na rękę, bo w pokojach Izabelli niczego od jej zamordowania nie posprzątała, lękając się tam wejść. Stały zamknięte. A nuż tam znajdzie się coś takiego, czegoby nikt widzieć nie powinien? Ale co tam? tacy kupcy, niech sobie oglądają. Zaprowadziła ich na piętro, otworzyła drzwi zardzewiałym kluczem, a sama zeszła prędko na dół, nie mając odwagi wejść do środka.

Kupcy oglądali wszystko bardzo dokładnie, a szczególnie zaciekały ich niepozorne drzwiczki w sypialni, zakryte portyera, tak upięta, że wyglądała jakby uzupełnienie firanek u okna. Drzwiczki były zamknięte, ale jeden z kupców dobył wytrycha z kieszeni i po kilku próbach drzwi się rozwarły. Był to gabinet, do łazienki przytykający, służący zapewne za kąpielową szatnię. Okna tu nie było, tylko z łazienki, przez oszklone drzwi, dochodziło światło. Na środku był stolik, obok dwa krzesła. Na stoliku spostrzegli pyłem okryte, spleśniałe i cuchnące resztki jakiegoś mięsiva, skamieniałe kawałki chleba, dwie szklanki i kilka wypróżnionych flaszek z wina, tudzież rozrzucone karty i niedopalone świece. Jeden z kupców dostrzegł na dywanie pod stołem, kilka sztuk złotej monety, podniósł je skwapliwie i schował. Z większą jeszcze skwapliwością przypatrywał się kartce papieru, którą również znalazł pod stołem. Były na niej te słowa, skreślone ołówkiem: „Obliczyłem się z Ludwikiem. Winien mu jestem z dawnego marek 200, a dziś dodał mi tysiąc osiemset. Te dwa tysiące oddam mu ze spadku po stryju. Edward 3/7“. Tę karteczkę schował jeden z kupców bardzo starannie do pugilaresu, poczem chodzili po wszystkich kątach, a widać, że już niczego nie byli ciekawi, bo zeszli na dół dość prędko, z czego Czerwona Maryna bardzo była zadowolona.

— Niebrzydki dom — rzekł jeden z kupców, tylko szkoda, że piętro zawsze zamknięte. Czemuż to tam pani nie porobi porządku?

— Ja tam nawet nie chcę zaglądać. Toć przecie wiecie już panowie, jak mi to wszystko przykro.

— Czy nie mogłaby nam pani powiedzieć, gdziebyśmy mogli teraz pana Ludwika znaleźć?

— A czyż ja wiem? On tu mało kiedy do mnie zagląda.

Kupcy pożegnali się z Czerwoną Maryną i odjechali.

* * *

Baronowa doznawała ciągłej obawy, że lada dzień wpadnie jakaś komisja sądowa, żeby ją wysłuchać i oddać majątek Ludwikowi, to też przerażała się okropnie, gdy dwóch, nieznanych mężczyzn wysiadło z powozu przed tarasem dworu. Czujny na wszystko Bertold, już wyszedł naprzeciw nich, a i on się zaniepokoił, gdy jeden z przybyłych oświadczył, że musi widzieć się z baronową w sprawie pilnej.

Baronowa zebrała siły, by nie okazywać lękliwości i przyjęła obu nieznajomych w małym saloniku.

— Jestem Greif, komisarz policyi — rzekł jeden z przybyłych — a to mój pomocnik, pan Spür. Pani wybaczy, że macimy spokój tego zacisza, zdaje mi się atoli, że to będzie dla pani baronowej nie bez korzyści, a może... może nawet skończy się prawdziwym dla pani szczęściem.

Baronowa zdziwiła się niezmiernie, nie mogąc sobie wyjaśnić, jakieby to szczęście być miało, ale uspokoiła się też zupełnie, widząc, że to nie sądowa komisja, że nie przybywają ci nieznajomi, aby ją wyrzucić.

Natomiast wpadło jej na myśl, że ci ludzie przybyli może po Sternega? Może się dowiedziano, że się tu ukrywa?

— Pani baronowa zeznała stanowczo, przed komisją sądową, że młody baron nie dopuścił się morderstwa, o które go posądzono — rzekł Greif.

— Tak panie, i gotowa jestem przysięgać na to, że mój syn nie mógł dopuścić się zbrodni.

— Rozumiem to, że matka nie może inaczej czuć i myśleć. Ale czy też pani baronowa, po za uczuciem matki, nie miała innych powodów do tych zapewnień o niewinności swego syna?

— Niepodobna mi na to odpowiedzieć, bo to, co mi powiada jakiś głos wewnętrzny, jakieś przecucie, nie może być ani dowodem, ani oskarżeniem, ani posądzeniem wobec prawa.

— A jednak byłoby to dla mnie bardzo ważne. Inaczej sąd zajmuje się takimi sprawami, inaczej policya. Sąd musi opierać się na faktach, policya szuka nawet drobnej poszlaki.

— Gdybym panu powiedziała 'o, co przeczuwam, czego jestem pewną, mogłabym się narazić na odpowiedzialność, nie mając na poparcie słów nic innego, tylko przecucie, jakieś jasnowidzenie, rozdartego serca macierzyńskiego.

— Zareczam pani, że w tej chwili nie rozmawiam z urzędu, ale jako człowiek, który wpadł na trop faktów, mogących uniewinnić barona.

— Boże! co pan mówi? Czyżby już odsłonił się nikczemnik, którego mi przecucie wskazało?

— Niech pani raczy zupełnie szczerze bez żadnej obawy, powiedzieć mi wszystko.

— Nawet wobec takiego nikczemnika, nawet po zapewnieniu pańskim, nawet mimo najsilniejszego przekonania, iż się nie mylę, trudno mi powiedzieć: on zamordował.

— Czy pani zna syna tak zwanej Czerwonej Maryny?

— Morderca!

— Przecucie pani może nie zawiodło.

— Boże! oby się prawda wykryła!

Greif pytał o różne szczegóły, dotyczące się Ludwika. Czerwonej Maryny i o przebieg sprawy z Izabelą a wreszcie zakończył:

— Nie zamierzam nawet prosić pani o podanie mi adresu syna, bo wiem, że serce matki na to by się nie zgodziło. Ale bardzo proszę, aby pani uprzedziła barona, że prawdopodobnie będzie musiał wkrótce ponownie poczynić zeznania wyjaśniające, potrzebne do stwierdzenia tych poszlak, które posiadamy.

* * *

Odjechali. Baronowa napisała o wszystkim do Ryszarda i oddała list proboszczowi, a on go wyprowadził na pocztę.

Przyjaciele.

W miasteczku, odległym od stolicy, siedział w gospodzie za stołem młody robotnik, w niebieskiej bluzie. Twarz mu okalała gęsta broda. Nikt się o niego nie troszczył, bo miasteczko fabryczne, robotników pełno. Brzydki był, niemiły, ale że to było wieczorem, a izba licha oświetlona, więc mu się dobrze przypatrzyć nie było można.

Popijał piwo, jak ten, co odpoczywa po pracy, ale bacznie przypatrywał się ludziom. Wchodził jeden, wychodził drugi! tu i owdzie siedzieli gromadkami ludzie rozmaicie odziani, rozmaitego wyglądu, ot — jak to zwykle w gospodzie.

Znowu wszedł gość, na robotnika wyglądający, w ubraniu wytartym, osmolonym, brudnym, widać, że wprost od roboty przybywa. Rozpatrywał się po izbie, jakby tu szukał znajomych, a zobaczywszy miejsce próżne przy brodaczu, siadł sobie naprzeciw niego i piwa podać kazał. Brodaczu się nie spodobało, że mu się nowy gość tak bystro przypatruje, jakby go chciał zaczepić. Dopił prędko piwa i zabierał się do wyjścia, gdy przybyły przemówił niby nieśmiało.

— A możebyście chwilę zostali?

— Nie chce mi się — odrzekł brodaczu opryskliwie.

— Ale proszę was. Chciałbym się dowiedzieć, czy też gdzie pracy nieznajdę. Przyszedłem tu piechotą, bo nie było za co jechać. Mówili mi, że tu pracy dość, bo fabryk wiele, a u nas bieda wielka, zarobku nie ma. Poradźcież.

— Macie tu innych dość, to się ich radźcie, a ja nie mam na to czasu.

To rzekłszy wstał brodaczu, zapłacił za piwo i wyszedł, a nowy gość, rzuciwszy na stół pieniądze za piwo, zostawił je w szklance i wybiegł za brodaczem. Na ulicy przyłączył się do niego.

— Czego wy chcecie odemnie? co? odczepcie się, bo was tracę — rzekł brodaczu.

— Jacyście to nie uczynni. Ja was pięknie proszę, żebyście mi poradzili.

Brodaczu niecierpliwił się widocznie, a może i niepokoił czegoś, bo zaczął się oglądać w prawo i w lewo, potem stanął i obejrzał się za siebie. Za nim szedł żandarm. Niech sobie idzie. Ba! czemuż także się zatrzymał? Brodaczu wzdręgnął się i skoczył na bok, jakby chciał go uniknąć, ale natrętny gość chwycił go silnie za ramię, a żandarm zastąpił mu drogę.

— Piękna masz brodę — rzekł gość natrętny. — Co to jest? czemu mnie zatrzymujecie? — krzyknął brodaczu.

— Właśnie ta twoja broda tak mi się spodobała.

To rzekłszy, szarpnął nieznajomy robotnika za brodę i oderwał ją łatwo.

— A, pan Ludwik, pan dziedzic Adlersfeldu, syn Czerwonej Maryny! Witam pana dziedzica — sztydził nieznajomy. I broda nie przydała się na nic. Teraz ptaszku już nam nie uciekniesz.

— A ty przeklęty szpiclu! — wrzasnął Ludwik i zręcznym ruchem dobywszy noża, przebić chciał ajenta policyjnego, lecz żandarm chwycił go za rękę, nóż wyrwał, potem z pomocą ajenta założył mu na ręce łańcuszki.

— Tak paniczu, teraz ci się ten nożyk nie przyda na nic. No, no, czemuż to pan dziedzic Adlersfeldu tak się przebrał? Może to na jakiś hal maskowy?

— Zamknij dziób!

— A, jaki też pan popędliwy! Pan komisarz Greif chciał się z panem widzieć, a pan taki niegościnny, że uciekł przed gośćmi. W policyi chciało pana poprosić o pewne wyjaśnienia. Po cóż było uciekać od swojej mamy? W łańcuszkach nie wygodnie, co? A czemuż to pan taki niecierpliwy i do noża pochopny?

Zaszli do miejskiego aresztu, gdzie Ludwika wtrącono do ciemnej sklepionej izby.

— Może nie bardzo tu będzie wygodnie. Przepraszam pana dziedzica, że pan tu przenocować musi, bo dopiero rano pociąg odchodzi do stolicy.

— Bodaj cię pokreślił przeklęty łotrze! — wrzasnął Ludwik.

Zdjęto zeń łańcuszki. Drzwi żelazne zawarto i zasunęto żelaznym drgiem.

Ludwik wyteżał wzrok w ciemnicy i zaledwie wysunął ręce przed siebie, żeby po omacku iść w głąb izby, ktoś się odezwał.

— Po głosie domyślam się, że to znajomy.

— A któż tu u kaduka?

— Nie gniewaj się sąsiedzie.

— Nie rozdzieraj darmo gęby, jeno gadaj! ktoś ty?

— O, teraz to już prawie pewien jestem, że to mój Ludwik kochany.

— A skoro mnie znasz, to gadajże ktoś ty?

— A widzisz, żem zgadł. A ty mnie po głosie nie poznasz?

— Ja się na muzyce nie znam.

— A fajo jakaś, to ja Edek.

— Edek! A skądże cię tn dyabli przyniesi?

— Długa historia. Ot, nie miałeś szczęścia, gdyś mi dał owe tysiąc osiemset marek, bo się wnet rozeszły. A może je duch Kronbergowej zaczarował. Fiu, fiu, poszły prędko. Trzeba się było zabrać do pracy. Trafił się interes doskonały. Był głupi, co szedł z grubymi pieniędzmi w nocy, odludną ulicą i nie chciał ich zgubić. Był też bardzo skąpy i dać ich nie chciał, więc musiałem się trudzić i sam je wziąć. Głupiec, grubiańsko gruchnął mnie bokserem i zaczął krzyczeć. Żal mi było ludzi, co sobie spokojnie spali w kamienicach, żeby ich nie zbudził z miłego snu, więc porachowałem mu żebra sztyltem i w nogi z nabitym pugilaresem. Bestya była twarda, bo się ocknął potem, wylizał i opisał mnie szelma tak, jakby fotografował gębą. Dyabli nadali, że się ta sprawa jakoś niechcący pod samą latarnią odbyła, więc mi się dobrze przypatrzył. Jak tylko zwąchałem, że mnie tropią, tak w nogi. Jeździłem sobie po świecie wesoło, aż mi już i brakło. Na swoich śmieciach człowiek śmielszy do interesu. Wróciłem, by się puścić na jakie przedsiębiorstwo z tobą na spółkę. Wybrałem się do twej matki, aż tu mnie skorciło po drodze co zarobić. Sięgnąłem na targu jakimś gamoniowi do kieszeni, zobaczywszy, że tam schował pękaty worek z markami, aż tu żandarm dopatrzył i chwycił mnie. Trzymają mnie tu trzeci dzień, bo się chcą dowiedzieć, co ja za jeden. A ja im codzień inaczej się przedstawiam. Ot, i tyle. A ty co Ludwiczku?

— Ho, ho! Miałem różne interesa, a nawet do spółki z książętami.

— Co też gadasz?

— A prawda. Na honor! Jakom żyw! Ale o tem, potem. Tymczasem tyle, że mnie u matki chcieli chwycić. Już mnie nawet szpicel trzymał, alem go zamałował po gębie, aż się wywrócił i dał w nogi. Wiedziały hycle, żem teraz pan, bom ci chodził elegancko, jak hrabia, jak spółnik książęcy. Żeby ich zmylić przyprowadziłem brode, przebrałem się za robotnika i włożyłem w tę dziurę, żeby tu na jakiś czas utonął między tysiącem robotczego ludu. Ale mnie zwęszyli, no i jestem. Psia-